

Wspomnienie o Julianie Godlewskim

Poznałem go w 1964 r. Będąc studentem miałem się różnych zajęć, które miały mi pomóc w wyjazdach czy to na wakacje letnie, czy też na narty. Nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności dowiedziałem się, że pewien bardzo bogaty Polonus ze Szwajcarii poszukuje przez swoich przyjaciół sekretarza. Pierwszy raz po wojnie był w kraju w 1962 r., a teraz chciał po raz drugi przyjechać na miesięczny pobyt. Nie bardzo wiedziałem, na czym ma polegać moja praca, ale byłem jej bardzo ciekawy. W oznaczonym dniu, na lotnisku w Warszawie witało go mnóstwo jego przyjaciół i znajomych i wówczas zostałem mu przedstawiony. Choć nie zrobiłem na nim najlepszego wrażenia, o czym dowiedziałem się znacznie później, gdy spostrzegłem, że umie ocenić ludzi od pierwszego wejrzenia — miałem pomóc mu w organizacji jego pobytu w kraju. Dziesiątki wizyt u osób oficjalnych i prywatnych, dziesiątki wizyt w jego ukochanym hotelu Europejskim w Warszawie, bądź we Francuskim w Krakowie. Program dnia musiał być wykonany, choć był planowany z dokładnością minutową. Choć z wielkim trudem, nadążałem za tymi obowiązkami, przyszło mi je wypełniać przez najbliższych 20 lat.

Julian Gozdawa-Godlewski urodził się we Lwowie w 1903 r. Tam też ukończył gimnazjum, a następnie studia prawnicze na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Po studiach pracował i w przemyśle, i w służbie zagranicznej, i w sekretariacie rządu na Warszawę. Poznał i zaprzyjaźnił się z wieloma osobami poczynając od arystokracji aż po szoferów. Lubił przebywać w każdym towarzystwie i wszędzie był akceptowany, a że przyjaźnie zostały na długie lata, niech świadczy fakt, iż przeglądając jego książkę adresową — opasłe tomisko pisane na maszynie — można zobaczyć wiele nazwisk osób poznanych w tamtych latach.

Jak wszystkim z tego pokolenia, wojna przerwała jego karierę. Ochotniczo wstąpił do 15 pułku ułanów i walczył w kampanii wrześniowej. Potem drogą wielu innych, przez Rumunię, Węgry i Szwajcarię — dotarł do Francji i Anglii. Tam ponownie wstąpił do armii polskiej i w dywizji pancerniej gen. Maczka walczył w czołgu w Normandii. Został ciężko ranny pod Falaise i wówczas otrzymał szlify oficerskie — został podporucznikiem czasów wojny. Po wojnie gen. Bór-Komorowski poprosił go o pomoc przy planowanym przez siebie objeździe ośrodków polonijnych w USA. Tak został adiutantem Generała, który dobrze wykorzystał jego wspaniałą znajomość języków, towarzyską ogładę i doświadczenie dyplomatyczne. Potem przyszła demobilizacja i konieczność decyzji, co dalej? Wybrał Argentynę. Przypadek zrzucił, że spotkał tam, znaną sobie już wcześniej z czasów leczenia gruźlicy kości w Szwajcarii, arystokratyczną rodzinę niemiecką barona Thyssena. Byli to właściciele ogromnego koncernu stalowego w zagłębiu Ruhry, których Hitler zmusił do opuszczenia kraju, gdyż odmówili mu poparcia. Chcieli pomóc Polakowi-emigrantowi, a ponieważ obdarzył ich swoją sympatią, więc przyłgął do rodziny. W ramach planu Marshalla koncern został zwrócony prawowitym właścicielom i w 1952 r. rodzina Thyssenów przeniosła się do Europy. Po śmierci męża baronowa, nie mająca męskiego potomstwa, uczyniła J. Godlewskiego swoim plenipotentem. Został

członkiem rady nadzorczej koncernu Thyssena. Ta kariera, wejście w nowe i trudne środowisko, zapełnianie się konta bankowego mogło doprowadzić do poprzewracania się w nim pojęć i wartości. On miał jednak głęboko zaszczerpioną formację duchową i intelektualną, którą wyniósł z domu rodzinnego, a ona pozwalała mu teraz wejść w najwyższe sfery przemysłowe Europy, ale i nie lekceważyć reguł demokratycznych. Liczył się z opinią współpracowników, wciągał do współdziałania wielkie zespoły doradcze, słuchał głosów odpowiedzialnych ludzi. Zabrzmiało to jak slogan, ale trzeba wziąć pod uwagę, że jak rozpoczął swoją działalność społeczną, to sam stał się ogromną instytucją poszukującą osób, organizacji i przedsięwzięć, którym trzeba było pomóc. Dobrowolnie wziął na siebie obowiązki, które można by rozłożyć na nieraz przeludnione urzędy i biura zajmujące się sprawami kultury, sztuki, opieki społecznej, spraw zagranicznych, itp. Gdyby udało się wymienić ludzi, którzy zetknęli się z nim w czasie tej działalności, to nie starczyłoby grubych ksiąg, a każdy miałby coś do zawdzięczenia panu Julianowi. Ludzie ci rozsiani są po całym świecie, a najwięcej spośród nich jest rodaków, a spośród rodaków najwięcej z nich mieszka w kraju.

Dla oficjeli — dr Godlewski, dla znajomych — pan Julian, a dla przyjaciół — Jul był bardzo dostojnym i eleganckim mężczyzną a jego sposób bycia niejednego krępował a innych ujmował. Mimo swych wytwornych manier, bywał gwałtowny i porywczy, a gdy ktoś przekroczył pewne zasady, bywał nawet przykry. Piszący kolana szofer musiał się zaczerwienić po jego uwadze, a i obsługa najwytworniejszych hoteli nieraz przyjmowała jego przytyki. Dumne było z niego Lugano w Szwajcarii, gdzie mieszkał w najelegantszym hotelu (teraz powiedziałoby się, że był tam zameldowany) i nazywano go ambasadorem spraw polskich. Dumny był z niego Zurych, gdzie często przebywał, za to, że, jak pisano w tamtejszej gazecie, przyczynia się do tego, iż miasto to uchodzi za ognisko europejskiej kultury. Dr Godlewski, obywatel argentyński pracujący w RFN i mieszkający w Szwajcarii, był „obywatelem świata”, a jeszcze trafniej, „obywatelem Europy”. Sam jednak na każdym kroku podkreślał swoją przynależność do Polski. Że nie tylko słowem, niech świadczy fakt, iż na każdej jego walizce już z daleka widać było białoczerwone pasy. Jeśli dziś w wielu krajach znajduje się przyjaciół Polski, to często jest w tym wielka zasługa pana Juliana. Ze wszystkich swoich sił i swoich możliwości chciał rozślawić imię Polski i udawało mu się to znakomicie. Często powtarzał za poetą, że „póty żyje naród, póki żyje jego kultura”, no i nie na darmo nazwano go mecenasem kultury polskiej. A co dla niej zrobił, najlepiej widać w Panteonie Narodowym, jak sam nazywał Wawel.

Od 1962 r., kiedy ofiarował Wawelowi arras Dymitra Chaleckiego — wielkiego podskarbiego litewskiego z czasów Stefana Batorego, co 2 lata spływał na Wawel jakiś bezcenny polonik. Zdobywał je za granicą, czasem przedziwnymi sposobami i przywoził je do kraju. Sześćsetlecie Uniwersytetu Jagiellońskiego uczcił ofiarowaniem kielicha Kazimierza Wielkiego. Na 90-lecie swej matki przekazał Wawelowi złote ogniwa pasa króla Zygmunta Starego. Potem przyszedł modlitewnik Anny Jagiellonki i kilka obrazów będących pomnikami najwyższej miary. Wiszą teraz na Wawelu z tabliczkami z nazwiskiem ofiarodawcy. W 1978 r. Wawel

odwdzięczył się swoim donatorom i w przedsionku komnat parterowych umieścił brązową tablicę z napisem: „Wielcy ofiarodawcy: Jan Matejko 1882, Jerzy Mycielski 1928, Leon Piniński 1931, Julian Godlewski 1962”. W trzy lata później Uniwersytet Jagielloński przyznał mu swą najwyższą godność — *doctora honoris causa*.

Oprócz Wawelu inne placówki także bogaciły się darami pana Juliana. Składał je w Muzeum Narodowym w Warszawie, w Muzeum Wojska Polskiego w Poznaniu i na Zamek Królewski w Warszawie.

Swój mecenat rozciągał także na środowisko muzyczne. Na kilku Konkursach Chopinowskich, wówczas młodzi, a dziś już sławni pianiści, otrzymywali jego nagrody. Były także stypendia umożliwiające kształcenie u wybitnych pedagogów. Nie były one kierowane tylko do środowiska muzycznego. Nikt już dzisiaj nie zliczy młodych ludzi, którzy dzięki niemu kształcili się w kraju bądź za granicą. Podobnie wielu sportowców miało umożliwiony start za granicą, a on miał wilgotne oczy, gdy widział biało-czerwoną flagę na masztach i słyszał Mazurka Dąbrowskiego i wtedy jeszcze większe sumy ofiarowywał na Polski Komitet Olimpijski. Ale najbardziej umiłował alpinistów. Kilka wielkich wypraw narodowych, a i kilka mniejszych mogło dojść do skutku tylko dzięki jego wsparciu. Odwdzięczali mu się alpiniści wspaniale i wzruszali go przesyłanymi zdjęciami ze szczytów alpejskich, a później z Himalaj, gdzie widać biało-czerwoną powiewającą na niebotycznych wysokościach. Gdy pytano go, dlaczego tak wyróżnia wspinaczy — odpowiedział, że tam, gdzie występują tak ekstremalne warunki, tam musi zawiązywać się szczególna więź pomiędzy ludźmi.

Mecenat nad kulturą polską roztoczył także na emigracji. W 1965 r. utworzył Nagrodę im. Anny Godlewskiej — swojej umiłowanej matki. W ciągu 10 lat nagrodę tę otrzymało 6 instytucji polonijnych, 8 literatów, 2 publicystów, 1 wydawca i 1 społecznik. Nie ograniczały się one jedynie do środowiska polonijnego. Otrzymało ją także 3 tłumaczy literatury polskiej oraz 4 inne osoby otrzymały tzw. nagrodę przyjaźni za zasługi dla Polski. W Szwajcarii szczególnie pomagał Muzeum Kościuszki w Solurze a także Towarzystwu Przyjaźni Polsko-Szwajcarskiej, ale największą jego zasługą było odtworzenie i utrzymywanie Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Po niesławnych targach, tylko dzięki jego wstawiennictwu i zaangażowaniu muzeum mogło się odrodzić. Gmina zgodziła się oddać część zamku na cele muzealne po odnowieniu Kolumny Barskiej i przeniesieniu grobów hr. Platerów. Podjął to zadanie, wszystkie swoje prywatne zbiory przekazał muzeum a w końcu utworzył fundację Libertas, której zadaniem jest utrzymywanie i rozbudowa muzeum. Dziś znów stanowi ono chyba największe polskie muzeum poza granicami kraju.

Choroby nie omijały pana Juliana. W młodości przeszedł gruźlicę kości, w czasie wojny był ciężko ranny, a i potem los zsyłał na niego coraz to nowe dolegliwości. Może to spowodowało, że był wrażliwy na ludzkie cierpienie i jak tylko mógł starał się pomóc w ludzkiej niedoli. Dotował szpitale, w których przebywał, pomagał współtowarzyszom choroby, ale najbardziej wspierał tych, którzy sami oddali się cierpieniu innych. Przykładem tego niech będzie pomoc dla zakładu dla ociemniałych

w Laskach, czy dla zakładu dla dzieci upośledzonych w Fiszorze. A ile osób dzięki jego pomocy skorzystało z leczenia za granicą, a ile zarobiła apteka w Zurychu, która na jego zlecenia słała transporty lekarstw do kraju?

Swą dobroć, swą troskę o dobro ogółu, o rzecz pospolitą — w dużej mierze zaczerpnął od swojej matki. Anna Godlewska z domu Zachariewicz była córką profesora Politechniki Lwowskiej, jednego z założycieli tej uczelni. Ona wszczepiła mu także prostą ale i głęboką religijność. Każdy jego pobyt w kraju miał w programie pielgrzymkę do Częstochowy, a w skarbcu klasztornym wisi obraz Matejki przedstawiający obronę Jasnej Góry przed nawałą szwedzką, który kiedyś zostawił tam w ofierze. Ile razy był przyjmowany przez księdza Prymasa Wyszyńskiego, czy też przez księdza kardynała Wojtyłę, tyle razy pytał się, gdzie najlepiej skierować swą pomoc. Wspierał budowę kościołów: nowohuckiego, w Sopocie i wielu innych, wspomagał klasztory w Czerwińsku, w Tyńcu, klasztory ss. Wizytek, Sakramentek i Niepokalanek. Pomagał w odbudowie historycznych kościołów w Krakowie i Przemyśle, łożył na budowę seminarium w Warszawie. Wszystkiego wymienić nie sposób, ale zapewne przez te zasługi nazwano go także przyjacielem Kościoła. Od ss. Wizytek otrzymał krzyż, jako znak przynależności do ich wspólnoty duchowej. Kiedyś, w hotelu w Szwajcarii, skradziono mu ten krzyżyk, a gdy z zawiadomieniem powiadomił o tym siostry — natychmiast otrzymał drugi. Nie rozstawał się z nim aż do ostatnich chwil swego życia. Po jego śmierci krzyż wrócił do klasztoru.

W grudniu 1982 r. ciężko i nieuleczalnie chory, przyjechał Jul do kraju. Wiedział, że to już ostatni raz. Zlikwidował wszystkie swoje sprawy w Szwajcarii i chciał zostać w Ojczyźnie na stałe. Ponownie zamieszkał w hotelu Europejskim, ale nie miał już sił nawet dla przyjaciół. Niedługo dane mu było mieszkać w kraju. Zmarł 4 lutego 1983 r. Ale nawet przed śmiercią myślał o tym, co pozostawi po sobie i ustanowił nową fundację społeczno-kulturalno-charytatywną przeznaczając na ten cel wszystko co miał. W mowie pożegnalnej nad trumną zmarłego ksiądz Twardowski powiedział: „...oto jeden z tych ubogich, w którego rękach nawet złoto stało się naprawdę szlachetnym metalem”.

ANDRZEJ SKORUPSKI